

CZY PRACA MOŻE BYĆ KARĄ? ROZWAŻ PROBLEM, ODWOŁUJĄC SIĘ DO FRAGMENTU „INNEGO ŚWIATA” GUSTAWA HERLINGA – GRUDZIŃSKIEGO ORAZ INNYCH TEKSTÓW KULTURY.

Pierwsze godziny dnia były najcięższe. Ciała, bardziej zmęczone snem na twardych pryczach niż wypoczęte, musiały pokonać wiele bólu, aby się wdrożyć z powrotem w rytm pracy. Poza tym rano nie było przecież na co czekać. Tylko stachanowcy otrzymywali w południe łyżkę gotowanej soi i sto gramów chleba; tę „primbludę” rozwoził w dużym cebrzyku umocnionym na stałe pomiędzy płozami sań jeden z wozowodów pod nadzorem kucharza. Reszta spędzała przerwę obiadową, siedząc przy ognisku i paląc wspólnego papierosa w takiej pozycji, aby nie trzeba było oglądać wydzielania stachanowcom „primbludy” i widzieć ich jedzących. Do rzadkości należeli więźniowie, którym udało się przechować z poprzedniego wieczoru kromkę suchego chleba. Racje chleba wydawane były po powrocie do zony w ilościach: trzeci kocioł - 700 gramów, drugi kocioł - 500 gramów, pierwszy kocioł - 400 gramów. Chleb więc - jeśli nie liczyć łyżki kaszy rano i porcji rzadkiej zupy wieczorem - był podstawowym pożywieniem w obozie. Powstrzymanie się od zjedzenia go w całości natychmiast po otrzymaniu wymagało nadludzkiego wysiłku woli i udawało się tylko tym więźniom, którzy po wieczornym posiłku szli jeszcze na kuchnię, aby za wyprzedawane stopniowo części własnego ubrania z wolności kupić od kucharki dodatkową porcję zupy.

Dopiero na dwie godziny przed odmarszem do zony więźniowie ożywiali się nieco. Perspektywa bliskiego odpoczynku i zaspokojenia choć na chwilę dokuczliwego głodu działała tak silnie, że nie sam powrót, ale oczekiwanie nań uważaliśmy za największe przeżycie dnia. Jak w każdej idealizacji, więcej w nim było urojeń niż prawdy. Męka życia więziennego nie kończyła się w baraku, wprost przeciwnie, zamieniała się dopiero w torturę myśli o śmierci. Ale miała w sobie tajemniczy - pociągający i odpychający zarazem - urok intymności cierpienia. Leżąc samotnie na pryczy, można się było nareszcie poczuć wolnym - wolnym od pracy, od współtowarzyszy więziennych, od czasu, który płynął jak stygnąca smoła. Tylko w więzieniu łatwo jest zrozumieć, że życie bez czekania na cokolwiek nie ma najmniejszego sensu i wypełnia się po brzegi rozpaczą. Czekając na samotność, baliśmy się jej jednocześnie. Była ona jedyną namiastką wolności, za którą w chwilach zupełnego odprężenia płaciło się ulgą i fizycznym prawie bólem płaczu.[...]

Niełatwo w pierwszej chwili zrozumieć, dlaczego w tych warunkach przydział do brygady tragarzy na bazie żywnościowej uważany był w obozie za coś w rodzaju awansu społecznego. Trzeba tu bowiem pamiętać, że praca w godzinach nadliczbowych nie należała na bazie do wyjątków, była raczej regułą, skoro 25 więźniów musiało wyładować żywność dla 30 tysięcy swych współtowarzyszy ze wszystkich „łagpunktów” obozu kargopolskiego i dla spółdzielni na wolności. A jednak na opróżnienie się miejsca każdego z nas czekały w obozie dziesiątki więźniów. Dlaczego? Chodziło tu głównie o dwa względy - jeden czysto materialny, a drugi moralny czy raczej psychologiczny. Pracując na bazie, mogliśmy często ukraść bądź kawałek solonej ryby, bądź trochę mąki, bądź wreszcie parę kartofli. Pracując w godzinach nadliczbowych, mieliśmy prawo wdawać się z naszymi przełożonymi współwięźniami, a często nawet z ludźmi wolnymi, w rokowania jak równi z równymi. Fakt, że przekraczaliśmy na ogół normalny więzienny dzień pracy, upoważniał nas do tego, aby nas o naddatki proszono. Rzecz prosta, nasi przełożeni mogli się zawsze w razie odmowy odwołać do władz obozowych, nadając procedurze dobrej woli charakter więziennego przymusu, ale w obozie utarł się zwyczaj, że nie uciekali się do tej ostateczności nigdy przed wyczerpaniem wszystkich środków łagodnej perswazji. My sami zresztą dbaliśmy usilnie o to, aby nas nie pozbawiano i tych skromnych pozorów wolności; tak silne jest w każdym więźniu pragnienie ocalenia najnędrniejszych choćby resztek własnej woli.